Pamflety - Frédéric Bastiat

Bo przecież żeby zostać ministrem, musiałbym mieć za sobą większość; tę większość miałbym tylko wtedy, gdybym ją sobie zapewnił; a zapewnić ją sobie, szczerze powiedziawszy, mógłbym tylko w ten sposób, że rządziłbym wedle jej pomysłów... A zatem gdybym chciał kierować się własnymi pomysłami, sprzecznymi z pomysłami większości, nie miałbym już za sobą większości, a gdybym nie miał za sobą większości, nie mógłbym zostać ministrem Jego Królewskiej Mości.

Frédéric Bastiat

Pamflety

rok wydania: 2016

wydawnictwo: Prohibita

UTOPISTA[1]

– Gdybym tak był ministrem Jego Królewskiej Mości!...

– I cóż by pan wtedy uczynił?

– Zacząłbym od... od... Słowo daję, najpierw byłbym w wielkim kłopocie.

Bo przecież żeby zostać ministrem, musiałbym mieć za sobą większość; tę większość miałbym tylko wtedy, gdybym ją sobie zapewnił; a zapewnić ją sobie, szczerze powiedziawszy, mógłbym tylko w ten sposób, że rządziłbym wedle jej pomysłów... A zatem gdybym chciał kierować się własnymi pomysłami, sprzecznymi z pomysłami większości, nie miałbym już za sobą większości, a gdybym nie miał za sobą większości, nie mógłbym zostać ministrem Jego Królewskiej Mości.

– Załóżmy jednak, że pan nim został, że większość nie przeszkadza panu; cóż by pan uczynił?

– Rozważałbym najpierw, po której stronie leży s p r a w i e d l i w o ś ć.

– A potem?

– Potem zastanowiłbym się, po której stronie jest u ż y t e c z n o ś ć.

– A potem?

– Zastanowiłbym się, czy słuszność i użyteczność zgadzają się ze sobą, czy się ze sobą kłócą.

– A gdyby doszedł pan do wniosku, że nie idą w parze?

– Rzekłbym do króla Filipa: „Proszę mi odebrać tekę ministra; moje rymy nie są olśniewające, a mój styl nieco staroświecki, ale czyż Wasza Królewska Mość nie widzi, że stoi za nimi czysta uczciwość i że są więcej warte, niż kombinacje obrażające zdrowy rozsądek?”...[2].

– A gdyby uznał pan, że sprawiedliwość i użyteczność są ze sobą zgodne?

– Wówczas postąpiłbym dalej.

– Świetnie. Ale żeby wcielać w życie użyteczność i sprawiedliwość, potrzebna jest jeszcze trzecia rzecz.

– Jaka?

– Możliwość.

– Przyznał mi pan tę możliwość.

– Kiedy?

– Przed chwilą.

– Jakże to? W jaki sposób?

– Zakładając, że będę miał większość za sobą.

– To założenie od razu wydawało mi się bardzo ryzykowne, gdyż ostatecznie implikuje ono, że ta większość postrzega jasno to, co sprawiedliwe, postrzega też jasno to, co użyteczne, że wreszcie postrzega wyraźnie, że pozostają one w doskonałej harmonii.

– Ale gdyby ta większość jasno to wszystko postrzegała, dobro dokonałoby się, by tak rzec, samoistnie.

– Oto, dokąd ciągle mnie pan doprowadza: abym uznał reformę za możliwą tylko wskutek postępu powszechnego zrozumienia.

– Bo jak widać, wszelka reforma jest niezawodna dzięki temu postępowi.

– Wspaniale. Ale ten poprzedzający reformę ogólny postęp rozumu trwa dość długo. Załóżmy, że już się dokonał. I co pan robi? Gdyż śpieszno mi widzieć pana w działaniu, w konkretnej pracy, w praktyce.

– Przede wszystkim zmniejszyłbym opłatę za listy do 10 centymów.

– Słyszałem, że mówił pan wcześniej o 5 centymach[3].

– Tak, ale że zamierzam też i inne reformy, muszę postępować ostrożnie, by uniknąć deficytu.

– Do kaduka! Jakaż to ostrożność! Od razu popada pan w 30-milionowy deficyt.

– Następnie zmniejszyłbym podatek od soli do 10 franków.

– Pięknie! Kolejne 30 milionów deficytu. Zapewne w to miejsce wymyśliłby pan jakiś inny, nowy podatek?

– Niech mnie Bóg broni! Poza tym nie przypisuję sobie tak wynalazczego umysłu…

– Trzeba by jednak… Ach! Pojmuję! Gdzie ja miałem głowę!… Zamierza pan po prostu zmniejszyć budżetowe wydatki. Nie pomyślałem o tym.

– Nie pan jeden… Owszem, dojdę i do tego, ale na razie nie na to liczę.

– Ach tak! Więc zmniejsza pan przychody nie zmniejszając wydatków, i tak pan unika deficytu?

– Owszem, zmniejszając jednocześnie inne opłaty.

(W tym miejscu mój rozmówca puka się w czoło, potrząsa głową, co może oznaczać: „Ten człowiek bredzi”…).

– Jakże to! Cóż to za dowcipny pomysł! Wpłacam 100 franków do skarbu państwa, pan obniża mi o 5 franków podatek od soli, o 5 franków od opłat pocztowych; a żeby skarb państwa otrzymał nie mniej, niż moje 100 franków, pan jeszcze obniża mi o 10 franków inny podatek?

– Niech pan da rękę! Zrozumiał mnie pan.

– Guzik prawda! Nie jestem nawet pewien, czy dobrze usłyszałem.

– Powtarzam więc: równoważę jedną ulgę podatkową – inną ulgą podatkową.

– Do licha! Niech stracę jeszcze kilka chwil i posłucham, jak objaśni pan ten swój paradoks.

– Oto cała jego tajemnica: znam pewien podatek, który kosztuje pana 20 franków, a który nie przynosi ani centa skarbowi państwa; nakazuję więc oddać panu połowę tego podatku, a drugą połowę odsyłam do sklepu przy ulicy Rivoli[4].

– Doprawdy, nie ma drugiego takiego finansisty, jak pan! Jest tylko jeden kłopot. Co to za podatek, jeśli pan łaskaw powiedzieć, który ja płacę, a który nie trafia do skarbu państwa?

– Ile pan zapłacił za ten swój frak?

– 100 franków.

– A gdyby pan kazał sprowadzić sukno z Belgii, z Verviers, ile by pana kosztował ten frak?

– 80 franków.

– Dlaczego więc nie sprowadził pan sukna z Verviers?

– Bo to zabronione.

– A dlaczego to jest zabronione?

– Żeby ten frak kosztował mnie 100 franków zamiast 80.

– Ten zakaz kosztuje pana zatem 20 franków.

– Bez najmniejszej wątpliwości.

– A gdzie się podziewa te 20 franków?

– Gdzie one idą? Do producenta sukna?

– No właśnie! Niech pan mi da 10 franków na skarb państwa, ja nakażę znieść ten zakaz, a pan zarobi jeszcze na tym 10 franków.

– Ach, ach! Zaczynam jasno pojmować. Rachuba skarbu państwa jest taka: traci 5 franków na opłatach pocztowych, 5 franków na podatku solnym, a zyskuje 10 franków na suknie. Jesteśmy kwita.

– A oto pańska rachuba: zyskuje pan 5 franków na obniżce podatku solnego, 5 franków na obniżce opłat pocztowych i 10 franków na tańszym suknie z Belgii.

– W sumie 20 franków. Ten plan nawet mi się podoba. Ale co zrobi ów biedny francuski producent sukna?

– O, pomyślałem o nim. Przygotuję dla niego kompensatę, ale ciągle poprzez korzystne obniżenie jego opłat na rzecz skarbu państwa. I to, co uczyniłem dla pana z suknem na pański frak – zrobię dla niego w odniesieniu do wełny, jaką musi kupować, węgla, maszyn produkcyjnych etc. W ten sposób będzie mógł obniżyć swą cenę sukna bez straty.

– Lecz czy jest pan pewien, że zachowana zostanie równowaga?

– Nastąpi wahnięcie szal. Te 20 franków, które – sprawię – że pan zaoszczędzi, powiększą się jeszcze o franki, jakie zaoszczędzę panu na zbożu, mięsie, paliwach etc. To urośnie do dużej sumy; a podobna oszczędność zostanie zrealizowana przez każdego z pańskich trzydziestu pięciu milionów współobywateli. Będzie z czego czerpać i na sukna z belgijskiego Verviers, i na te z francuskiego Elbeuf. Naród zostanie lepiej odziany, to wszystko.

– Zastanowię się nad tym; bo na razie wszystko to miesza mi się w głowie.

– Poza wszystkim, co do odzieży, najważniejsze jest być ubranym. Pańskie członki są pańską własnością, a nie fabrykanta sukna. Chronić je przed zimnem to pańska sprawa, a nie jego! Jeśli prawo bierze jego stronę przeciw panu, to prawo jest niesprawiedliwe, a przecież pan zezwolił mi rozumować przy założeniu, że to, co niesprawiedliwe, jest zarazem szkodliwe.

– Może posunąłem się za daleko; ale proszę kontynuować prezentację pańskiego planu finansowego.

– Wdrożyłbym też pewne prawo o opłatach celnych.

– W dwóch opasłych tomach?

– Nie, w dwóch ledwo artykułach.

– Tym razem nie powie się już, że słynna maksyma: „Nikt nie może tłumaczyć się z nieznajomości prawa”, jest fikcją. Zobaczmy zatem, jakie jest pańskie prawo celne.

– Oto ono:

„Art. 1 Wszelki towar importowany z zagranicy obciążony jest 5-procentowym podatkiem od jego wartości”.

– Nawet s u r o w c e?

– Chyba że nie mają żadnej wartości.

– Ale zawsze mają jakąś wartość, mniejszą czy większą.

– Zatem będą opłacane mniej lub więcej.

– Jak pan może żądać, żeby nasi producenci walczyli z producentami zagranicznymi, którzy mają nieopodatkowany import surowców?

– Przy ustalonych wydatkach państwa – jeśli zamkniemy to źródło dochodów, trzeba by otworzyć jakieś inne; nie zmniejszy to gorszego położenia naszych fabryk, a trzeba będzie stworzyć więcej administracji i ją opłacić.

– To prawda; rozumowałem tak, jakby chodziło o zniesienie tego podatku, a nie o jego przerzucenie. Zastanowię się nad tym. A jaki będzie pański drugi artykuł?

– „Art. 2 Wszelki towar eksportowany podlega

5-procentowemu podatkowi od jego wartości”.

– Na litość boską! Panie utopisto! Zmierza pan do tego, że pana ukamienują, a jak do tego dojdzie, rzucę w pana pierwszy kamień.

– Przyjęliśmy jednak, że większość jest rozumna – oświecona.

– Oświecona! I będzie pan utrzymywał, że takie p r a w o w y w o z o w e nie jest dotkliwe?

– Każdy podatek jest dotkliwy, a ten – znacznie mniej niż inny.

– Trwający karnawał usprawiedliwia najrozmaitsze dziwactwa. Niechże pan uprzejmie wyjaśni pozorność tego paradoksu, jeśli to możliwe.

– Ile płaci pan za to wino?

– Jednego franka za litr.

– Ile zapłaciłby pan poza rogatkami miasta, więc poza granicą celną?

– Pięćdziesiąt centymów.

– Skąd ta różnica?

– Niech pan spyta w urzędzie akcyzowym, który pobiera dodatkowo te dziesięć sou[5].

– A kto ustanowił ten urząd celny?

– Gmina paryska, żeby mieć pieniądze na brukowanie i oświetlenie ulic.

– Mamy zatem do czynienia z prawem importowym. Ale gdyby to gminy graniczne ustanawiały akcyzę, kierując się własnymi korzyściami, jakie

byłyby skutki?

– Zapłaciłbym co najmniej 1 franka za moje wino, warte 50 centymów, i dodatkowe 50 centymów za brukowanie i oświetlenie ulic w gminach granicznych Montmartre i Batignoles.

– Tak czy owak, ostatecznie to konsument płaci ten podatek, prawda?

– Bez wątpienia.

– A zatem po wdrożeniu mojego prawa wywozowego, to zagraniczny konsument partycypowałby w pańskich wydatkach na wino.

– Łapię pana na niekonsekwencji: to już nie jest s p r a w i e d l i w o ś ć.

– Dlaczego nie? Aby wyprodukować cokolwiek, potrzeba w kraju odpowiedniej wiedzy, bezpieczeństwa, dróg, więc rzeczy, które kosztują. Dlaczego obcokrajowiec nie miałby ponosić stosownych opłat za nasze produkty, które przecież chce konsumować?

– Jest to sprzeczne z ogólnie przyjętymi ideami.

– Nic podobnego. Ten, kto kupuje ostatni powinien pokrywać wszystkie bezpośrednie i pośrednie koszty produkcji.

– Próżne gadanie, rzuca się przecież w oczy, że tego rodzaju uregulowanie sparaliżowałoby handel i zamknęło przed nami rynki zbytu.

– To złudzenie. Gdyby płacił pan ten dodatkowy podatek za wszystkie inne towary, miałby pan rację. Ale jeśli te 100 milionów przewidzianych do uzyskania w ten sposób powoduje zarazem obniżenie innych pańskich podatków – korzysta pan na rynkach zagranicznych ze wszystkich swoich przewag, a nawet zyskuje pan dodatkową przewagę, jeśli ten podatek sprawia panu mniej kłopotu i innych wydatków.

– Zastanowię się nad tym… Zatem sól, opłaty pocztowe i opłaty celne zostały uregulowane. I na tym koniec?

– Ledwo zacząłem.

– Niech pan będzie łaskaw zapoznać mnie z innymi pańskimi utopiami.

– Straciłem 60 milionów na soli i opłatach pocztowych. Ale moje prawo celne rekompensuje mi to; daje mi także coś bardziej cennego.

– Co, jeśli łaska?

– Stosunki międzynarodowe oparte na sprawiedliwości i prawdopodobieństwo pokoju równoważne z pewnością. Zmniejszam wojsko.

– Całe wojsko?

– Z wyjątkiem specjalnego wojska, które rekrutuje się z dobrowolnych ochotników, jak wszystkie inne profesje. Widzi pan, pobór rekruta zostaje

zniesiony.

– Proszę pana, należy mówić „rekrutacja”.

– Ach, zapomniałem! Podziwiam, jak łatwo przychodzi – w niektórych krajach – utrwalanie najbardziej niepopularnych spraw poprzez nadawanie im nowych nazw…[6]

– To jak „zestaw należności”, które stały się teraz „podatkami bezpośrednimi”.

– Albo „żandarmi”, którzy teraz nazywają się „strażnikami władz lokalnych”.

– Krótko mówiąc, rozbraja pan teraz kraj, kierując się utopią.

– Powiedziałem, że ograniczam armię, a nie że rozbrajam kraj. Zamierzam, przeciwnie, nadać mu pewną siłę nie do pokonania.

– Jak zrealizuje pan ten stek niedorzeczności?

– Powołam do służby wszystkich obywateli.

– Lepiej byłoby uwolnić od niej niektórych niż powoływać wszystkich.

– Nie po to zrobił mnie pan ministrem, abym pozostawił sprawy ich własnemu biegowi. Zatem po swym dojściu do władzy oświadczyłbym jak Richelieu: „Zasady Państwa zostały zmienione”. A moją pierwszą zasadą, która posłuży za podstawę mojego administrowania, będzie: „Każdy obywatel musi umieć dwie rzeczy: dbać o swój byt i bronić swego kraju”.

– Wydaje mi się, w pierwszej chwili, że jest w tym jakaś iskierka zdrowego rozsądku.

– W konsekwencji opieram obronę narodową na ustawie zawierającej dwa artykuły:

„Art. 1 Każdy zdrowy obywatel, bez wyjątku, pozostanie w służbie wojskowej przez cztery lata, od 21. do 24. roku życia, i w tym czasie przejdzie przeszkolenie wojskowe”.

– Piękna mi oszczędność! Oddali pan 400 tysięcy żołnierzy, a 10 milionów uczyni pan nowymi żołnierzami!

– Proszę posłuchać drugiego artykułu:

„Art. 2 Chyba że udowodni w wieku 21 lat przeszkolenie na poziomie plutonu”[7].

– Nie oczekiwałem takiego zakończenia. Jest oczywiste, że aby uniknąć czterech lat służby wojskowej, pośród naszej młodzieży nastąpi straszliwa rywalizacja o to, kto lepiej opanuje „w prawo zwrot” albo „ładowanie na tempo”. Dziwny to pomysł.

– Lepszy niż to, co mamy teraz. Bo przecież – bez sprawiania bólu rodzinom, z których teraz pobierany jest rekrut i bez naruszania równości obywateli – czyż nie zapewni krajowi w prosty i mało kosztowny sposób 10 milionów obrońców zdolnych stawić czoło każdemu wyzwaniu ze strony wszystkich zawodowych armii świata?

– Doprawdy, gdybym nie ufał królewskim gwardzistom, może i zainteresowałyby mnie te pańskie fantazje.

Tymczasem utopista coraz bardziej się zapala:

Bogu dzięki, oto mam budżet mniejszy o 200 milionów! Znoszę akcyzę, gruntownie przerabiam „bezpośrednią kontrybucję”, a dalej…

– Ach, panie utopisto!…

Utopista zapala się jeszcze bardziej: Wprowadzam wolność wyznań, swobodę nauczania! Nowe zasoby. Kupuję koleje żelazne[8], spłacam zadłużenie, ograniczam giełdowe spekulacje…

– Panie utopisto!

– Uwolniony od nadmiernych i niepotrzebnych dotychczasowych obowiązków koncentruję wszystkie siły mojego rządu na zwalczaniu oszustw i szybkim, sprawiedliwym sądownictwie, wreszcie…

– Panie utopisto, podjął się pan zbyt wielu spraw, naród nie pójdzie za panem!

– Ale przecież pan dał mi większość.

– Odbieram ją panu.

– W samą porę! A zatem nie jestem już ministrem, a moje plany pozostają tym, czym są: u t o p i a m i.

[1] Tekst zaczerpnięty z pisma „Libre-échange” z 17 stycznia 1847 r. [Nota wydawcy francuskiego]

[2] Nawiązanie do „Mizantropa” Moliera, akt I, scena II. [Nota wydawcy polskiego]

[3] Rzeczywiście, w maju 1846 r. w pewnym artykule zamieszczonym w „Journal des Économistes” autor mówił o obniżce tego podatku do 5 centymów. Artykuł ten stanowi rozdział XII drugiej serii *Sofizmatów ekonomicznych* Bastiata. [Nota wydawcy francuskiego]

[4] Ministerstwo finansów Francji znajdowało się w owym czasie przy ul. Rivoli w Paryżu. [Nota wydawcy polskiego]

[5] Sou – moneta wartości 1/20 ówczesnego franka, czyli 5 centymów – przypis tłumacza.

[6] Jakże to powszechna socjotechniczna manipulacja dzisiaj w ramach „nowomowy”! – przypis tłumacza.

[7] W XIX-wiecznej Francji istniały tak w miastach, jak i na prowincji liczne stowarzyszenia obywatelskie, w ramach których niższej rangi oficerowie zawodowej armii prowadzili szkolenia wojskowe ludności; w ramach tego szkolenia ochotnicy mogli ukończyć tzw. szkołę plutonowych (poziom dowodzenia ówczesną jednostką wojskową najniższego szczebla – plutonem) – przypis tłumacza.

[8] Frédéric Bastiat był zdecydowanym przeciwnikiem działalności gospodarczej prowadzonej przez państwo. Wyjaśnienie powyższego paradoksu, dotyczącego zakupu kolei francuskich, znajduje się w przypisie do angielskiego wydania

Utopisty. http://oll.libertyfund.org/pages/the-utopian-17-january-1847.